

Teksty Drugie 2008, 4, s. 177-183



Pornic

Grzegorz Marzec

Grzegorz MARZEC

Pornic

Zdumiewające, że właśnie w Pornic, podążając śladem Juliusza Słowackiego, Czesław Miłosz uzmysłowił sobie siłę ekonomicznych zależności i na moment przynajmniej stał się marksistą:

Tu w Pornic (Loire Atlantique) – pisał w lipcu 1960 roku do Thomasa Mertona – znowu czuję przypływ fali obrzydzenia. Ta potęga pieniądza – od pokoleń, jako że francuska burżuazja liczy sobie kilka stuleci – przekształcająca i zatruwająca wszelkie międzyludzkie stosunki. Skarży się Pan na Amerykanów i nie myli się Pan w tym, ale mnie się wydaje, że we Francji potęga pieniądza jest większa, bardziej podskórna, przenikająca wszystkie tkanki, tylko że negatywnie, w postaci strachu, skąpstwa, po prostu siedzenia na bogactwach nagromadzonych przez przodków. Te wille wzdłuż wybrzeży, te olbrzymie apartamenty w Paryżu, puste przez większą część roku, komody pełne dóbr wszelkiego rodzaju etc.

Widomy to znak. Objawienia nie zapewni wspólnota wileńskiej młodości. Podobne, prawnicze wykształcenie to stanowczo za mało. Ba, nie pomaga łączący los wygnańca ani nawet fakt bycia Poetą. Do bóstwa i duchów nie zbliża również tożsamość miejsca i krajobrazu. Względna, bo Miłosz odwiedzał już oczywiście inne Pornic: dzisiejszy obserwator zwróci uwagę na mnogość prywatnych łodzi zacumowanych na wybrzeżu, upstrzone neonami kasyno, duże pole golfowe i gigantyczną rezydencję, w której mieści się znane w całej Francji centrum talasoterapii. Symbolicznym obrazem zmiany jest lokal sieci McDonald's, w którym 14 kwietnia 2000 roku Rewolucyjna Armia Bretońska przeprowadziła niegroźny zamach bombowy – jak gdyby nie dość dobrze pamiętając, że w 1910 roku spędzał czas w Pornic największy rewolucjonista naszych czasów, Włodzimierz Lenin. W istocie rzeczy jednak, Słowacki i Miłosz odwiedzili zupełnie różne miejsca z innej

Pasáže romantyczne

jeszcze przyczyny. Nie tyle z powodu cywilizacyjnych przemian (Miłosz mówi przecież o wielopokoleniowej ciągłości francuskiej burżuazji), ile za sprawą wyjątkowej wyobraźni poetyckiej Juliusza Słowackiego.

Pornic to niewielka miejscowość w Bretanii, nad samym Atlantykiem, w pobliżu ujścia Loary. Dziś liczy około 11 tysięcy mieszkańców; w połowie XIX wieku była to w zasadzie duża wioska, z populacją nieznacznie przekraczającą 1000 osób. Choć korzenie miasta sięgają antyku, to właściwym aktem erekcyjnym stało się wzniesienie fortecy, której zadaniem była ochrona portu i doliny przed najazdami wikingów. Fortecę, rozbudowaną do postaci warownego zamku, postawił hrabia Alain Barbetorte, wnuk ostatniego króla Bretanii. Znacznie później budowla zyskała miano „zamku Sinobrodego”: w XV wieku jej właścicielem został Gilles de Rais, uznawany za pierwowzór tej postaci. Swoją renomę miasto zawdzięczało głównie staremu portowi (nazwa Pornic wywodzi się z galijskiego „porniti”, co znaczyło „port”) i walorom leczniczym, jakie wiązano z tamtejszym powietrzem i kąpielami w morzu. Mniej więcej w tym samym czasie, w którym Słowacki wojażował nad ocean, powiadał Georges Touchard-Lafosse:

W okresie letnim Pornic cieszy się dość dużą popularnością wśród kąpielowiczów. Żadne uzdrowisko bretońskiego wybrzeża nie może w istocie lepiej im się przysłużyć, gdyż, jeśli nie liczyć kąpeli w morzu, w pobliżu miasta – chociaż w gminie Clion – znajduje się pewne mineralne źródło solno-żelazowe, którego wody są z powodzeniem stosowane przy różnych chorobach, szczególnie przy obstrukcjach.

Twierdzi autor, jakkolwiek brzmi to jak swoista miejscowa legenda, że „miejscowość Pornic słynie ze znakomitych marynarzy, stamtąd się wywodzących; armatorzy tam właśnie znajdują kapitanów do dalekich rejsów”, a sami mieszkańcy Pornic „są żywi i pracowici; zdrowe powietrze, którym oddychają, zapewnia im czerstwe i pełne rozkwitu zdrowie; mają dobrą krew. Kobiety, ogólnie rzecz biorąc, są dosyć ładne i schludne: zwłaszcza młode dziewczyny mają wiele blasku i świeżości”. Obie te kwestie – marynarska i kobieca, ze szczególnym uwzględnieniem tej ostatniej – znajdują wszak odzwierciedlenie w innych źródłach. „W klimacie pośrednim, ni to północy, ni południa, ni to Bretanii, ni Wandei, śniłem z rozkoszą, czułością i powagą o schronieniu w Pornic, o jego dzielnych żeglarzach i pięknych dziewczętach” – wspominał Jules Michelet. Z kolei Chopin, we wrześniu 1833 roku, wdychał w liście do Auguste’a Franchomme’a: „A wieśniaczki z Pornic!”. To właśnie po pobycie w Pornic w czerwcu 1855 roku Robert Browning napisał poemat *Gold Hair: A Legend of Pornic*, z na poły wyśnioną przez siebie postacią martwej dziewczyny, która na łożu śmierci rozkazuje, by nie tykano jej złotych włosów. Dziewczyna przypomina anioła:

Oh, the beautiful girl, too white,
Who lived at Pornic, down by the sea,
Just where the sea and the Loire unite!
And a boasted name in Brittany
She bore, which I will not write.

Marzec Pornic

Too white, for the flower of life is red;
Her flesh was the soft, seraphic screen
Of a soul that is meant (her parents said)
To just see earth, and hardly be seen,
And blossom in Heaven instead.

(*Gold Hair: A Legend of Pornic*)

W dziwny sposób z wizją poety skorelowany jest sen, który kilkadziesiąt lat później analizował Freud. Markizowi d’Hervey de St. Denis śniła się kiedyś kobieta o złotych włosach:

We śnie kobieta ta wydawała mi się znajoma, sądziłem nawet, że nieraz ją widywałem. Kiedy się obudziłem, jej twarz jeszcze żywo miałem w pamięci, wcale jednak nie mogłem sobie przypomnieć, kto to. Znowu zasnąłem, znowu nawiedził mnie ten sam obraz seny. Tym razem zagadnąłem ową damę, spytałem ją, czy już nie miałem przyjemności jej widzieć. „Ależ tak – odparła – proszę sobie tylko przypomnieć kąpielisko w Pornic”. Zaraz się obudziłem – teraz umiałem dokładnie przypomnieć sobie wszelkie szczegóły, z którymi wiązał się obraz tej uroczej buzi.

Do tej krainy, która okazała się dlań miejscem snów i wizji, Słowacki przybył dwukrotnie: najpierw spędził w Pornic cały wrzesień 1843 roku, by rok później wrócić na lipiec i sierpień. Relacje o tych pobytach znamy głównie z listów poety do matki, do Joanny Bobrowej i malarza Wojciecha Stattlera oraz z prowadzonego od chwili pierwszego wyjazdu *Raptularza*. Szczegóły Pornickiego krajobrazu, swoście przemienione, odnajdujemy w tekstach, które Słowacki napisał w samym Pornic lub pod wpływem reminiscencji; głównie chodzi tu o *Genesis z ducha*, wiersze *Do pastereczki siedzącej na druidów kamieniach w Pornic nad Oceanem* i *Patrz nad grotą*, a także o pozostawione w nieładzie karty, które wydawcy opatrzyli tytułami *Dzieje Sofos i Heliona*, *Dialog troisty*, *Dialog jednolity* czy *Początek poematu o tajemnicach genezyjskich*. Z żadnego z tych źródeł – ani też z tekstów, jakie pozostawili współcześni Słowackiego i badacze – nie dowiadujemy się tak naprawdę, d l a c z e g o poeta pojechał do Pornic i czemu wybrał w ł a ś n i e Pornic. Spróbujmy podjąć obie kwestie.

Miasto było podówczas już dość znane i ta prawie obiegowa wiedza mogła dotrzeć do uszu Słowackiego. Pochodząca z 1841 roku relacja Auguste’a Guilmina sugeruje, że gwiazda Pornic rozbłysła dość nagle: „Przed dwunastu laty mało było znane jeszcze jako miejscowość kuracyjna”. Podobnie, ale znacznie później, konkludował Ferdynand Hösick: „Była to miejscowość kąpielowa nad Oceanem, dość modna podówczas, tak mniej więcej jak dzisiaj Dieppes lub Dinard”. Zgodnie z powszechnie akceptowanym przekonaniem, Słowacki jechał do Pornic podreperować nadwątlone zdrowie. Jest to jednak ten rodzaj wiedzy, który sam siebie tłumaczy (a więc może i niczego nie tłumaczy) na podstawie wzmianek Słowackiego i jego znajomych o postępującej u niego chorobie. Stattler, który widział go tuż przed wyjazdem, wspominał: „W ogóle wydawał się być ruiną dawnej świątyni, której ledwo drobne ślady pozostawały, a każde z osobna o innej części gmachu

Pasáže romantyczne

i o innym użytku mówiły”. Sam poeta informował matkę w październiku 1843 roku: „zawędrowałem nareszcie do małej miłośnicy nad Oceanem, gdzie wiele ludzi zjeżdża się na morskie kąpiele; mnie samemu przypadają one do smaku i moje ciało-kwiat potrzebowało odwilżenia”. Nic dziwnego, że przyczyna podróży była sama przez się zrozumiała i można ją było skonstatować albo wprost: „Morskie kąpiele miały dodać mu sił” (Alina Kowalczykowa), albo nieco poetyczniej, puszczając wodze wyobraźni: „Jego suchotniczy wygląd, jego zapadnięte policzki i gorączkowo pałające oczy, budziły obawę, że poeta może umrzeć wcześniej, aniżeli przywiduje...” (Ferdynand Hösick). Jeżeli tak, to Słowacki wybrał się do Pornic pod wpływem dość rozpowszechnionej wiedzy o uzdrowisku lub za czymś podstępem: może Joanny Bobrowej, jak wzniośle mniemał Hösick, albo też rodziny Czartoryskich (Słowacki poznał Witolda Czartoryskiego w 1842 roku), która również jeździła do Pornic. Choć w tym przypadku mogło być odwrotnie: to Słowacki mógł zareklamować Witoldowi Pornic, a Czartoryscy w 1844 roku udali się tam prawie w tym samym czasie, co poeta. Pobudki zdrowotne nie wymagały żadnego tłumaczenia do tego stopnia, że wszystko to, co później miało przydarzyć się poecie, jawiło się jako zbieg okoliczności. Tak przynajmniej mniemał Juliusz Kleiner, którego zdaniem Słowacki wybrał się nad ocean, „nie przeczuwając zapewne, iż Pornic stanie mu się drugą Ziemią Świętą”. Jechał w tym samym celu, co Tytus Chałubiński w dwadzieścia kilka lat potem: „spodziewając się poprawy”.

Ale może i czegoś więcej spodziewał się po tym wyjeździe. Albo wręcz czegoś innego. Że się spodziewał, tego możemy być pewni: „Zapach Oceanu, kolor jego zielonawy, brzegi Porniku takie, jak widziałem je w imaginacji czytając Walterskotowego *Pirata*, to jest szare, skaliste, pokryte chwastami; natura obca, ale znajoma, bo widzia na kiedyś przecuciem, zapragniła sercem”. Zbyt małą dotychczas przywiązywano wagę do tego fragmentu. Pornic nie tylko już dawniej chodził Słowackiemu po głowie, ale do tego jeszcze w trakcie jego zajęć czytelniczych. Akcja powieści Scotta nie toczy się w Pornic. Próżno w książce nawet szukać tej nazwy. Co można w niej znaleźć? Na przykład opisy walk spienionego morza ze skałami szkockiego wybrzeża: „Jarlshof jest zakończon przylądkiem niezmiernej wysokości, zwanym Sumbugli, który swem czołem i nagiemi boki opiera się rozhukanym wód bałwanom”. Takich obrazków Jarlshofu – a trzeba dodać, że jest tam opuszczony zamek, kilka nędznych chat i trzy łódki rybackie – znajdziemy znacznie więcej. Słowacki napisze później w (*Próbach poematu filozoficznego*): „rozhukane bałwany, pełne tajemnic morze”. Czy na tym właśnie mu zależało, gdy na modłę powieści Scotta widział bretońskie brzegi Atlantyku? I czy mógł w Pornic zyskać coś poza krajobrazem?

„Podejrzewam, że w Bretanii schroniły się moce, które pomogłyby w dokonaniu się rytu przejścia” – pisał Krzysztof Rutkowski. Słowacki istotnie mógł chcieć jechać do Bretanii lub Normandii właśnie pod wpływem celtyckich podań i legend (których nie ma też u Scotta), licząc, że właśnie tam może się dokonać cudowna transgresja. Cezary Jellenta sądził, iż druidyczny charakter Bretanii był

właśnie tym, co Słowackiego przyciągało w sposób szczególny. „Ten brzeg oceanu dawał mu pomruk wszechświata, natchnienie do koniecznych zadum, wibrację dla jego muszli Trytona, brzmiającej ogromem”. Nic dziwnego, że Słowacki sam miał czuć się druidem, a za największą Druidesę uznawać – zdaniem Jellenty – Polskę. Od samego poety wiemy, że taka była pobudka jego drugiego wyjazdu: „Nie tyle dla zdrowia, ile dla pewnego druidycznego monumentu, gdzie przeszłego roku zakląłem dawne cienie krwawych kapłanów”.

Ale autor *Genesis* mówi też, że chciał czegoś więcej, że „tamtejszą naturę widział przeczuciem i zapragnął sercem”. Znamy słowa, w których Słowacki zapowiedział swój wyjazd w 1843 roku. Znamy, ale i nie do końca, ponieważ pochodzą one ze wspomnień Stattlera, spisanych dokładnie 40 lat później. To szmat czasu i pamięć tych, co zapisują, nie zawsze jest wiarygodna. Tu jednak mamy do czynienia z czystą poezją, z nierozstrzygalną zapewne zagadką, i Słowacki z pewnością mógł coś takiego powiedzieć, a to coś – nie zostać zapomniane czy przekręcone: „Malując jego portret, dostrzegłem w jego spojrzeniu całą potęgę widzenia, a na ustach jego całą moc lania obrazami bez końca. Wspomniałem o tem, a on, w odpowiedzi, położył tylko gorejącą dłoń swoją na mej dłoni. – Muszę pojechać nad Ocean, rzekł, by zmaleć, by ostygnąć”. Czy chciał ostygnąć z gorączki (gorejąca ręka), czy raczej z tej potęgi widzenia? Czy właśnie po niej oczekiwał pomniejszenia, skarlłowacenia? Czy więc liczył, mając w pamięci „szare, skaliste, pokryte chwastami” brzegi oceanu, że dzięki tej podróży jego literacki język stanie się silny nie umiejętnością „lania obrazami bez końca”, ale wypowiedzenia trzech słów, które zatrzęsą bryłą świata? Jedna rzecz zmalowała na pewno. To przestrzeń miasteczka, którą szkicował Słowacki. Jego intymna, mistyczna przestrzeń.

Zdaniem Aliny Kowalczykowej, „cały świat w Pornic świadczy Słowackiemu o duchu”. Zdanie to wydaje się słuszne do chwili, w której uświadomimy sobie, że w tych opisach pozostawionych przez Słowackiego praktycznie n i e m a ś w i a t a. Przechylenie wycofała się albo uległa degradacji. Widać nagle, że w Pornic duch Słowackiego wrócił do pierwotnego momentu istnienia ducha i jego świadomości. Nie ma tu przestrzeni uformowanej, jasnej, pełnej.

Miasteczko pozostaje ukryte, a Słowacki nie widzi nawet zamku, który jako pierwszy przykuwa uwagę turystów. Jest tylko morze, a z nim skały i gwiazdy, wszystkie wszak symbolicznie przemienione. Skały i ocean muszą być, bo w skałach, jak w egipskich mumiach (porównanie Słowackiego), zakonserwowany jest pierwotny duch, a w łonie oceanu „odbywały się pierwsze tajemnice organizmu”. Poeta narzuca nam czasoprzestrzeń zerowego momentu historii ludzkości i świata; oto jesteśmy w chwili, w której dopiero r o z p o c z y n a s i ę praca form. Nie jest to jednak absolutna rezygnacja z siebie i ze swojej rzeczywistości, znana z objawień mistyków: „zapomnienie świata i wszystkiego oprócz Boga” (Pascal), „zapomnieć wszego stworzenia, pamiętać na Stwórcę swego” (św. Jan od Krzyża). Przechylenie wycofuje się do jedynie koniecznych składników. To, co zostaje (ocean, skały, gwiazdy), to tylko symbole samoświadomości ducha. Słowacki potwierdza to wycofanie się czy skarlłowacenie w notatce dorzuconej do *Genesis*: „[mówię] «jam»,

Pasáže romantyczne

nie «ja», bo ja osobą jest, a tam osoby nie było jeszcze”. Duchy więc dopiero proszą Boga o formę, świat jest niewidzialny i czeka na ukształtowanie: „Duchu mój, w bezkształcie więc twojego pierwszego zawiązku, była już myśl i czucie”.

Dlatego Słowacki może mówić, że „z punktu jednego niewidzialnej przestrzeni powstały siły magnetyczne” i że „duchy zamieniają mu ziemię w niewidzialne królestwo”. Że zaś morze i skały mają charakter czysto symboliczny, przekonuje nas sam poeta: „Szum morza [był dla mnie] znakiem [pierwotnego] Chaosu”. Skały zaś nazywa raz to bezdnem, raz to druidyczną kopułą, pod którą skrywają się duchy.

Ten posępny cypel to odludzie – jak Słowacki mówi o Pornic w liście do Statlera. Istotnie, w relacjach poety praktycznie nie ma ludzi. Entuzjastycznie wprowadzie wypowiada się o mieszkańcach Pornic: kiedy wracał tam w 1844 roku, wszyscy mieli go pamiętać, kiedy wyjeżdżał – z rozrzewnieniem żegnać. Ale wszyscy oni byli ludźmi z tego świata. Do wizji nie mieli już dostępu i kiedy Słowacki siadał na „skalach osypanych złotą i srebrną miką”, tracili realny byt. Oczywiście za sprawą poety: siłą swoich wizji przywracał Pornic do pierwotnej postaci, do chaosu, jaki rządził tu, gdy o tak mile wspomnianym hiszpańskim małżeństwie czy miejscowym doktorze nie mogło być jeszcze mowy. Kiedy Mistrz mówi do Heliona: „Widzisz tam groby pornickiego cmentarza, a tu bliżej wianek dzieci rumianych nad morzem”, zaraz dodaje, że groby są puste, a ludzie są duchami, którzy je opuścili. Nie dziwi więc zapis z *Raptularza*: „Siedziałem na mikowcu, otoczony tłumem słuchaczy”. Jedyna osoba, jaką spotyka Słowacki, to wypasająca krowę pastereczka; nie jest to jednak – jak wiemy – pastereczka, ale sam Król-Duch. Lub może raczej Matka Boska, bo wiersze, w których pastereczka została opisana, czerpią sposób obrazowania z wizji Dziewicy, jaką w *Apokalipsie* (12, 1) daje św. Jan.

Słowacki na pierwszy rzut oka nie kłopotczy się w ogóle kwestią językowego przekazu wizji. Nie pojawiają się u niego sformułowania, jakie znajdziemy u mistyków, np. u Swedenborga: „Nie potrafię tego opisać, to była *series mystica* [...] Byłem, jednym słowem, w niebie i słyszałem tam mowę – z jej wewnętrznym życiem, z którego brała się wspañiałość i słodycz – jakiej nie sprostą żaden ludzki język”. Tym samym Słowacki popełnia grzech, przed którym Bóg ostrzega fałszywych proroków: „Oto się zwrócę przeciw prorokom – wyrocznia Pana – k t ó r z y u ż y w a j ą s w o j e g o w ł a s n e g o j ę z y k a , b y w y p o w i a d a ć w y r o c z n i e” (Księga Jeremiasza, 23, 31). Słowacki niezupełnie jednak mówi swoim językiem. Przyjechał tutaj wiedziony podszeptem literackim (*Pirat*) i jednym z jego zamiarów mogło być sprawdzenie, przetestowanie, czy literatura działa, czy ma moc sprawczą, czy – jak Mickiewicz – ma poeta zrezygnować z pisania na rzecz czynu, czy też obie te kwestie dadzą się pogodzić. Dlatego zamiast „po prostu” zapisywać wizje, przekłada je na język literatury, jak gdyby potoczna polszczyzna mu nie wystarczała, jak gdyby nie dowierzał własnej intuicji, że to wystarczy, żeby w przyszłości stać się największym z proroków. Dlatego to, co napisze prozą, zaraz ujmuje w poetyckie strofy. Dlatego co i rusz morze nazywa „stepem, co falami w słońce idzie” (przekornie, odwrotnie do Mickiewicza, który step na-

Marzec Pornic

zwał oceanem), zielony Ocean to dla niego „słone łzy nimf wodnych”, a skały osypane minką „palą się na słońcu niby tarcze albo trony Oceanid” (w *Genezis* mówi wprost o tarczy Achillesa). Jak z rękawa sypie literackimi aluzjami i porównaniami (Homer, Dante, mity, Biblia). Wreszcie przepisuje obrazy z tekstu do tekstu: z *Apokalipsy* do *Snu srebrnego Salomei* (postać Księżniczki), ze *Snu...* do *Pastereczki*. Widzi wciąż to samo: Księżniczka marzy o wienku z owoców oceanu, takim, jakie wiły Oceanidy, a Słowacki pisze Bobrowej, że marzył, by dla niej zebrać bukiet ze stepu i morza, z kwiatów, koralu i pereł. Chciał zmaleć; mógł chwilowo pomniejszyć przestrzeń, ale język, jakim o niej mówi, już tak łatwo maleć nie chce i Słowacki wciąż leje obrazami bez końca. Natrętne porównania sprawiają, że pouczenia, jakie dawał matce, uzasadniając nowy ton swoich tekstów, szły w zapomnienie.

Miłosz, przytłoczony feerią barw, nie dopatrzył się szarych skał i ostów, po których stąpają duchy. Z pewnością nie uwierzył w możliwość objawienia, przynajmniej w takim miejscu. Wizje swojego poprzednika tłumaczył, z dobrotną ironią, kojącym wpływem morza:

Zaiste, ocean czyni z nas to, czym jesteśmy naprawdę:
Dziećmi udającymi przez chwilę mądrość kapitanów
I ludzkość jest wtedy kochaną rodziną
A tysiąclecie liczy się za dzień jeden.

(*Kroniki miasta Pornic*)

Niewykluczone jednak, że szczególnie rozmyślał nad językiem wizji. Rewelatorstwo poezji to był bez wątpienia jego własny problem. Dwuznaczne zmagania Słowackiego z językiem – uciekanie od poezji i z powrotem w poezję – mogły mieć dla niego moc oczyszczającą. Możliwe więc, że zwracając się do Słowackiego, miał na myśli siebie: „O smętny, o kochany, / Srodze tu oszukany”.

Abstract

Grzegorz MARZEC

Institute of Literary Research of the Polish Academy of Sciences (Warszawa)

Pornic

This text poses questions on the relations between geographical places and literary texts in which such places have left their traces. The author attempts at examining to what an extent Juliusz Słowacki's visit to Pornic was an act of being there, in a real historical venue, and to what an extent, in a linguistically (literarily) produced and figured-out reality.